

Przemysław Mrówka: Ernest Hemingway i George Orwell. Dwa spojrzenia na hiszpańską wojnę domową

„W hołdzie Katalonii” Orwella pozostaje książką pokazującą wojnę domową bez retuszu i od podszewki, taką, jaką liczni służący w Brygadach Międzynarodowych literaci postanowili zignorować lub nawet nie byli jej świadomi. Z kolei Hemingway napisał znakomitą powieść, odwołującą się do popularnych w kulturze europejskiej mitów: wspieranych przez ludność bojowników, walki słabszego z silniejszym, przeciwstawienia się tyranom. Był on znakomicie dopasowany do czytelników, którzy dzięki reportażom korespondentów wojennych już sami mieli wizję wojny domowej zbliżoną do tej, jaką za chwilę miał im zaserwować Amerykanin. I dlatego Hemingway rok po wydaniu „Komu bije dzwon” był nominowany do Pulitzera za swą książkę, Orwell zaś za życia nie zdołał sprzedać do końca pierwszego nakładu, liczącego raptem 1500 egzemplarzy – pisze Przemysław Mrówka w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Hemingway. Pisarz (nie)stracony”.

Według pewnej historii, późną zimą roku 1945 Ernest Hemingway szykował się do opuszczenia swojego pokoju w paryskim hotelu Scribe, gdy usłyszał pukanie do drzwi. Stał w nich wysoki, chudy młodzieniec, który przedstawił się jako Eric Arthur Blair. Amerykanin warknął tylko „Well, what the fucking hell do you want?!”, młodzieniec dodał więc, że nazywa się także George Orwell. Hemingway natychmiast zaoferował przybyszowi drinka.

Opisane spotkanie prawdopodobnie nie miało takiego przebiegu i zostało wymyślone przez Paula Potts, przyjaciela Orwella, on sam bowiem nigdy o nim nie napisał. Co ciekawsze, często o tym spotkaniu pisał jednak sam Hemingway, jego wersja zaś z biegiem lat zmieniała się coraz bardziej. Biografowie obu autorów skłaniają się więc ku uznaniu, że takie spotkanie nie miało miejsca. A szkoda, mogłoby bowiem być niezwykle ciekawe. Obaj byli skrajnie różnymi osobowościami, obaj także współdzielili wojenną kartę w okresie hiszpańskiej wojny domowej. Obaj także opisywali ją w sposób zupełnie odmienny.

Studium porównawczym będą dwie najsłynniejsze książki obu autorów o tych wydarzeniach: *W hołdzie Katalonii* Orwella oraz *Komu bije dzwon* Hemingwaya. Pierwsza jest literaturą faktu, pamiętnikami Brytyjczyka z okresu walk na froncie aragońskim, dwóch wizyt w Barcelonie oraz ucieczki z Hiszpanii w obawie przed aresztowaniem. Druga jest beletrystyką, opowieścią fikcyjnego sapera, który dołącza do partyzanckiego oddziału mającego za zadanie wysadzić trzymany przez wojska frankistowskie most.

Oczywiście, nie jest powiedziane, że beletrystyka nie może być cennym źródłem dla zrozumienia rzeczywistości. W tym wypadku jednak wydaje się to dość symptomatyczne. Edmund Wilson, przyjaciel Hemingwaya, twierdził, że był on już przed wojną zajęty tworzeniem swojej własnej postaci i dodawał, że była to zarazem najgorsza postać literacka, jaką autor *Starego człowieka i morza* stworzył. W Robercie Jordanie, głównym bohaterze *Komu bije dzwon* możemy dostrzec wiele cech wskazujących na to, że jest on również *alter ego* autora. Obaj są aktorami tej opowieści, mają coś do osiągnięcia i zrealizowania, czują

się odpowiedzialni za wykonanie misji, która wpłynie na przebieg działań wojennych. Tymczasem Orwell jest od tego skrajnie odległy, pisze w pierwszej osobie i nieco się dystansuje, przyznając sobie tylko rolę obserwatora rzeczywistości, nie jej kreatora.

Jeżeli przyjrzymy się postawom, z jakimi obaj pisarze ruszyli na wojnę, różnice te staną się jeszcze bardziej oczywiste. Hemingway w liście do matki pisał, że postrzega tę wojnę jako konflikt między zwykłymi ludźmi, ciężko pracującą solą ziemi, a nieobecnymi posiadaczami, Maurami, Włochami i Niemcami. Miał całą wojnę poukładaną i przemyślaną zanim jeszcze dotarł do Hiszpanii, włącznie z usprawiedliwieniem dla zbrodni strony republikańskiej popełnianych na duchownych katolickich. Miał też zaplanowaną dla siebie rolę w konflikcie. Odwrotnie Orwell, który przed dostaniem się do Barcelony nie zdecydował się nawet, do której z licznych bojówek zamierza wstąpić. Jak sam napisał, nie chciał podejmować decyzji w Londynie, lecz na miejscu, po tym, jak zobaczy, co się właściwie dzieje. Miał też dalece prostsze motywacje: chciał po prostu zabijać faszystów. Zamiast zabrać się razem z innymi intelektualistami w szeregi Brygad Międzynarodowych, wybrał więc bojówkę POUM, związanej z brytyjską Niezależną Partią Pracy, która zorganizowała jego przerzut. Ta krótkowzroczność odbiła się na jego szlaku wojennym: zamiast wraz z resztą światowych sław relacjonować walki na froncie madryckim czy innych „prestizowych” odcinkach, tkwił w okopach w Aragonii.

Skoro tak różnili się w postawach wyjściowych, można by się spodziewać, że pisali także w innym celu. I tak jest w istocie. Orwell jest raczej reportażystą. *W hołdzie Katalonii* to opowieść o wojnie i jej przyziemnej, pomijanej stronie, ale także o walce politycznej między stronnictwami republikańskimi, której świadkiem był w Barcelonie oraz

o trzeźwieniu z urzeczenia socjalizmem. Nie było w tym manipulacji czy pisania pod tezę, okres hiszpański był bowiem zarazem także okresem formacyjnym dla Orwella. Spisał wszystko tak, jak to widział, by czytelnik mógł zobaczyć jego ewolucję i być może samemu ją przejść.

U Hemingwaya wygląda to bardziej skomplikowanie. Po pierwsze, bohaterem zbiorowym jest oddział partyzancki, którego działania mają zmienić losy zbliżającej się ważnej bitwy. I tutaj pojawia się pierwszy problem: dlaczego autor wybrał typ jednostki, który podczas wojny miał znaczenie całkowicie marginalne? Owszem, Hiszpanie darzą swych *guerillas* wielką estymą, ale raczej chodzi im o tych walczących z Wellingtonem przeciw Francuzom. Podczas wojny hiszpańskiej można znaleźć dosłownie pojedyncze przypadki ich stosowania. Dlaczego więc oddział partyzancki? Ponieważ pasował do wizji clou konfliktu, z jaką Hemingway przyjechał. Nierealna mozaika osobowości, jakich w oddziale napotyka Jordan, stanowi potwierdzenie tezy autora o osi konfliktu przebiegającej po linii zwykli, pracowici ludzie – wspierani przez zagranicę bogacze. Stąd oddział partyzancki, oddolnie zorganizowany, złożony z przeróżnych osób które normalnie by się nigdy nie spotkały, jednak sytuacja dała im wspólny cel, każdy więc złapał za broń i ruszył bronić wspólnej ziemi. W ramach tworzenia tego mitu oddział może funkcjonować dzięki szerokiemu wsparciu miejscowej ludności. Jest postrzegany przez lokalnych mieszkańców jako „ich” ludzie, „ich” obrońcy. Nie ma to, rzecz jasna, wiele wspólnego z rzeczywistością, owe nieliczne grupki działały bowiem raczej jak dywersanci i nie byli znani w rejonach, w których operowali, przez co traktowano ich z podejrzliwością.

Po drugie, gdy Orwell jest reportażystą, Hemingway wchodzi w buty propagandy. Pisze, bo ma w tym konkretny cel polityczny: przedstawienie walczących stron zgodnie ze wskazaną w poprzednim akapicie osią. Nie jest to jego jedyny cel, rzecz jasna, a przynajmniej nie w tym przypadku (by zobaczyć jego pracę jako faktycznego propagandy, musimy sięgnąć po *Hiszpańską ziemię*). *Komu bije dzwon* to przecież także książka psychologiczna, opowieść o okropieństwach wojny i tym, jak wpływają na ludzką psychikę. Można by posunąć się nawet do obrony, że to jest głównym celem powieści i pozostałe naciągnięcia oraz rozbieżności z faktami są tak naprawdę tylko narzędziami literackimi służącymi podkreślenia efektu dramatycznego. Na ile ten argument jest prawdziwy, pozostawiam każdemu do indywidualnej oceny.

Na koniec wróćmy do fundamentalnego pytania: czy obaj autorzy mówią prawdę o wydarzeniach, których byli świadkami? Wprawdzie poprzednie akapity podważały nieco wersję Hemingwaya, tym niemniej znakomita liczba krytyków literackich podkreśla weredyzm obu autorów, ich bezkompromisowość w pisaniu niewygodnej prawdy nawet o własnym stronnictwie. Nie wydaje mi się jednak, by w przypadku Hemingwaya była to prawda.

*Orwell jest reportażystą,
Hemingway wchodzi w buty
propagandy*

Orwell opisuje swoją drogę. Zaczyna od raczej naiwnego młodzieńca, który po prostu chce zabić faszystów, po czym

odkrywa, jak bardzo skonfliktowana jest sprawa strony, po której

stanął. Da się odczuć jego zdumienie, gdy śledzi walki między marksistami a trockistami czy komunistami i anarchistami. Opisuje, jak bardzo Barcelona zmieniła się w czasie, gdy był na froncie. Jest zaskoczony, rozczarowany i zniesmaczony, jednak nade wszystko przestraszony. Przecież ostatecznie będzie musiał uciekać z Hiszpanii po delegalizacji POUM i stanięciu naprzeciw machinie państwa totalitarnego z policją polityczną, komisarzami bezpieczeństwa czy aresztami rewolucyjnymi. A podkreślmy, że były to realia relatywnie łagodne, rząd premiera Negrina nie mógł bowiem nawet marzyć o władzy, którą posiadały komunistyczne dyktatury Wschodu. Obojętnie, czy Orwell pisze o walkach politycznych i odwracaniu się ludzi od narzuconej mody na drelichy robotnicze, czy też o zimie w okopach i wiecznych problemach z obłożonymi latrynami o zbyt śliskich posadzkach, widzimy jego staranie o pokazanie nam wszystkiego od podszewki. Tak, byśmy zarówno wyleczyli się z romantyzowania wojny, jak i romantyzowania komunistów.

Tymczasem Hemingway stosuje najstarszy trick propagandowy: aby wykreować się na bezstronnego i świadomego czarnych kart własnego stronnictwa, wytyka błędy poszczególnych jednostek. Przykładowo André Marty'ego, dosyć mrocznej postaci, której okrucieństwo, pryncypialność i paranoja zapewniły przydomek „Rzeźnika z Albacete”. Hemingway właśnie tak go opisuje, jednocześnie każe nam jednak wierzyć, że to odosobnione przypadki, zaś ogólnie rzecz biorąc akty okrucieństwa popełnianego przez stronę rządową albo były zasłużone, albo nie powinny wpływać na całościową ocenę wojsk komunistycznych. W tym przypadku Robert Jordan stanowi perfekcyjne *alter ego* Hemingwaya. Nie jest ślepy na kłamstwa czy fabrykacje strony, po której walczy, często zwraca na nie uwagę. Nie zadaje jednak tego fundamentalnego pytania „dlaczego?”, zadowolając się pierwszym lepszym wyjaśnieniem. Podobnie nie zadaje owego pytania

Hemingway, który obawia się, że mogłoby ono podważyć rolę komunistów jako przedstawicieli zwykłych ludzi. W jego wizji nie są może idealni, ale stanowią najlepsze wyjście i jako takich należy ich chronić.

Przemysław Mrówka

Foto: Wojska republikańskie w czasie bitwy pod Irún / Domena publiczna

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
